

Później

Wszędzie wokół powoli wzbiera panika; przerażenie wisi w powietrzu jak gęsty dym.

– Taka miła para. Myśli pan, że wszystko z nimi w porządku? – pyta kobieta.

Pośpiech karetek wciśniętych w cichy zaułek, błysk kogutów radiowozów, niebiesko-biała taśma policyjna rozciągnięta wokół posesji – wszystko to wskazuje dość jednoznacznie, że nic nie jest w porządku. Kobieta obejmuje się ramionami, jakby marzła, choć jest przecież wyjątkowo ciepły maj. Płatki kwiatów wiśni tańczą wokół jej kostek jak konfetti, ale mieszkańcy tego domu nie mają czego świętować. Tragedia zaczyna już wsiąkać w ściany z czerwonej cegły.

Głos jej drży, kiedy mówi do mikrofonu. Ledwo ją słyszeć przy buczeniu silników i trzaskaniu drzwi vana. Właśnie przyjechała załoga konkurencyjnej stacji, techniczni z hałasem rozkładają stojak i montują kamerę. Dziennikarz podsuwa mikrofon bliżej ust kobiety.

Ona zakłada sobie rude włosy za uszy; podnosi głowę. Oczy ma pełne łez. Wspaniale, telewizja to kocha.

– Nikt by się nie spodziewał... Nie tutaj. To porządna okolica.

Po twarzy reportera prześlizguje się zniesmaczenie, ale męczyzna prędko przerabia to na idealną wypadkową szoku i współczucia. W końcu odbębnił trzy lata na kursie aktorskim.

Ciągnie za węzeł krawata, próbując rozluźnić nieco ucisk pod szyją. Czeką, aż kobieta skończy głośno smarkać w chusteczkę. Ten zaduch jest nie do zniesienia; rozżarzone słońce rzuca długie cienie. Spod pach reportera rozchodzi się kwaśny odór potu przemieszany ze słodkim zapachem świeżo skoszonej trawy. To połączenie przyprawia go o mdłości, lepi mu się do gardła.

Nie może się doczekać, aż wróci do domu i otworzy zimne piwo. Przebierze się w krótkie spodnie, takie jakie ma na sobie listonosz, który siedzi teraz na krawężniku z głową między kolanami. Ciekawe, czy to on ich znalazł. Ludzie się wkurzą, gdy nie dostaną dziś poczty. „Lokalny kryzys pocztowy!” – zwykle właśnie takie historyjki przypadają mu w udziale, ale to... to może pójść na cały kraj. Przełom w karierze. Mało nóg nie pogubił po drodze, kiedy usłyszał od szefa, co się pojawiło na nasłuchu fali policyjnych.

Jedną dłonią osłania oczy przed słońcem, rozgląda się po okolicy. Po przeciwnej stronie ulicy jakaś kobieta opiera się o framugę drzwi wejściowych, na rękach trzyma kilkuletnie dziecko. Trudno mu odczytać wyraz jej twarzy. Ciekawe, dlaczego nie podeszła bliżej, jak reszta. Na skraju ogrodu, tak blisko jak pozwoliła na to policja, kłębi się zbита grupka sąsiadów. Ich zszokowane twarze zupełnie nie pasują do schludnych

grządek pełnych pomarańczowych aksamitek i fioletowych bratków. Reporter myśli sobie, że z tego zestawienia wyszedłby świetny kadr. Wiosenna radość brutalnie przerwana przez tragedię. Nowe życie podkreśla nieubłaganą surowość śmierci. Kurde, dobry jest; naprawdę powinni go awansować na prezentera.

Nagle za jego plecami zaczyna się ruch. Dziennikarz daje znak operatorowi, żeby odwrócił się w tamtą stronę. Oko kamery przesuwa się po ścieżce ku otwartym drzwiom. Wejścia pilnuje policjant, stojący na baczność przy srebrnej donicze z miniaturowym drzewkiem. Schodek jest zabrudzony; to chyba krew. Na ten widok reporterowi aż serce rośnie. Cokolwiek tu się wydarzyło, to na pewno coś dużego. Punkt zwrotny w jego karierze.

Z domu wychodzi dwóch ponurych ratowników medycznych. Pchają przed sobą puste nosze, kółka z chrzęstem turlają się po żwirku.

Kobieta, z którą robił wywiad, ściska go za ramię, mocno wbijając palce w marynarkę. Głupia krowa, pogniecie materiału. Ma ochotę się wyrwać; z trudem powstrzymuje ten odruch. Tylko przełyka irytację. Niewykluczone, że będzie musiał jeszcze z nią porozmawiać.

– To znaczy, że nic im nie jest? – pyta kobieta i marszczy twarz, skonsternowana.

Ratownicy wciskają nosze na tył karetki. Drzwi zamykają się z trzaskiem, niebieski kogut przestaje migotać, ambulans powoli rusza z podjazdu.

Zza idealnie przystrzyżonego żywopłotu dobiega trzeszczący głos z walkie-talkie. Ktoś mówi coś cicho do odbiornika, kryjąc się przed oczami gapiów. Słowa płyną niespiesznie

w stronę dziennikarza razem z brzęczeniem trzmieli i tłumionym łąkaniem.

– Dwa ciała. No to mamy morderstwo, będzie dochodzenie.

1.

Teraz

Znów słyszę za plecami jej śmiech. Mówię sobie, że to przecież nie może być ona, ale nawet po tylu latach wiem, że z nikim bym jej nie pomyliła. Mam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Tak mocno chwytam się lady, że aż bielegą mi kostki.

Nie odwracaj się.

Widzę przed sobą Clare. Jej wargi układają się w pytanie: „Z bitą śmietaną?”, ale ja nie słyszę, dzwoni mi w uszach. Potrząsam głową, jakbym w ten sposób mogła wyrzucić z niej źródło coraz głośniejszego brzęczenia. Clare odstawia puszkę z bitą śmietaną. Zawsze zamawiam to samo, ale ten śmiech nagle przeniósł mnie w przeszłość. Zapach gorącej czekolady, zwykle tak kuszący, dziś sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła.

– Wszystko w porządku, Kat?

Jest mi gorąco. Ciągnę mocno za szalik, jakby mnie dusił. Chodnik na zewnątrz pokrywa biały szron, ale w kawiarni jest duszno. Ekspres do kawy syczy i pryska, kłęby pary unoszą się wysoko, aż pod sufit z dębowych belek.

Facet za mną odkaśtuje niecierpliwie i szura nogami, co mi przypomina, że nie odpowiedziałam Clare.

– Nic mi nie jest – zapewniam, ale mam sucho w ustach.

Zamiast własnego głosu słyszę dziwny skrzek. Jedną dłonią przesuвам monety po blacie, drugą chwytam za ucho kubka. Czekolada spływa gorącą strużką po kubku, brudzi mi palce, parzy skórę. Odwracam się niechętnie. I znów to słyszę. Śmiech.

Jej śmiech.

Rozglądam się niespokojnie po kawiarni, a kiedy wreszcie ją dostrzegam, wszystko inne nagle się rozmywa. Jest odwrócona plecami do mnie, ale wszędzie rozpoznałabym tego lśniącego czarnego boba. Przeczesuje włosy palcami, mówiąc coś z ożywieniem do starszej pani siedzącej naprzeciwko. Przechyliła głowę na bok, gdy słucha odpowiedzi. Mam wrażenie, że ostatni raz widziałam ją wczoraj, choć to przecież nieprawda.

Lisa.

Dłonie robią mi się gorące, zaczynają mrowić. Od bardzo dawna nie miałam napadu paniki, ale teraz pod wzbierającą falą lęku czai się coś w rodzaju rezygnacji – jakbym i tak wiedziała, że nie da się tego uniknąć.

Z początku nie jestem pewna, co robić. Stopy gotują mi się w ocieplanych kozakach. Czuję łaskotanie na karku. Pokój się przechyla, kołysze. Odsuwam się na bok i opieram o ścianę. Jest pora lunchu, ludzie tłoczą się z miskami domowej zupy i panini, z których kapie stopiony ser. Nie ma szans, żebym zdołała się stąd wymknąć tak, by ona mnie nie zauważyła, ale nie czuję się gotowa na to spotkanie. I bez tego jestem emocjonalnym wrakiem, mam ochotę znów sprawdzić komórkę, może już przyszła wiadomość. Koncentruję całą uwagę na tym, żeby stawiać jedną stopę za drugą, powolutku ruszam w stronę stolika w kącie, choć nadal obawiam się,

że zaraz zemdleję. Opadam na niski fotel, upuszczam siatki z zakupami na podłogę i staram się skurczyć w sobie, stać się jak najmniejsza. Gorąca czekolada stoi przede mną nietknięta, powierzchnię przysłania już gruby kożuch. Mam tak ściśnięte gardło, że nic nie przełknę. „Co ona tutaj robi? Jesteśmy prawie sto kilometrów od domu”, myślę, po czym wzdrzgam się z zaskoczeniem: nadal nazywam tamto miejsce domem, choć przecież to tutaj zbudowałam sobie nowe życie. Obracam w palcach złoty krzyżyk, wspomnienia kotłują mi się w głowie. Pierwszy dzień szkoły; Lisa kuca, żeby zawiązać mi sznurówki, bo ja jeszcze nie potrafię; siedzimy po turcku w moim ogrodzie w gorącym letnim słońcu i pleciemy wianki ze stokrotek, a potem wpychamy sobie papier toaletowy w staniki i ćwiczymy całowanie na wierzchu dłoni. Tak bardzo za nią tęskniłam, ale nie wiem, co powiedzieć, żeby wszystko naprawić. Nie mam pojęcia, co zrobić. Mogłabym udawać, że jej nie potrzebuję, ale to nie złagodzi tępego bólu w piersi, który pojawia się za każdym razem, kiedy myślę o naszej dawnej przyjaźni.

Z zamyślenia wyrывa mnie głośnie chrząknięcie. Odwracam głowę i widzę, że stoi nade mną para z tacą zastawioną parującymi filiżankami kawy i ciastem z kremem. Patrzą z pretensją, dając do zrozumienia, że mogłabym już zwolnić stolik. Wyrzucam z siebie pospieszne przeprosiny, wstaję, naciągam płaszcz, zbieram siatki. Biorę głęboki wdech i ruszam do wyjścia ze spuszczoną nisko głową, wzrok mam wbity w podłogę. Już prawie jestem przy drzwiach, już kładę dłoń na klamce, kiedy nagle słyszę jej głos:

– Kat.

Nie mogę się powstrzymać. Odwracam się.

– Lisa. – Przyglądam się twarzy dawnej przyjaciółki.

Spodziewam się, że zobaczę złość albo przynajmniej żal, ale ona powoli się uśmiecha. Jej oczy marszczą się w kącikach. Jakby nasza ostatnia wściekła kłótnia nigdy się nie wydarzyła. Ani to, co nastąpiło po niej. Zwłaszcza to, co nastąpiło po niej.

– Tak myślałam, że to ty! – Lisa wygląda na szczerze uradowaną, że mnie widzi.

– Co ty tu robisz? – Moje pytanie brzmi bardziej oskarżycielsko, niż zamierałam, więc staram się złagodzić słowa ostrożnym uśmiechem.

– Przyjechałam na tydzień na dyżury do Świętego Tomasa. Jestem teraz pielęgniarką.

– Tak jak twoja mama? – wrywa mi się.

Zwykle nie pozwalam sobie na rozmyślenia o jej rodzinie. Ani o mojej.

Liczy się tylko tu i teraz.

– A ty? Skąd się tu wzięłaś?

– Przeprowadziłam się kilka lat temu.

– Co za zbieg okoliczności.

Czyżby? Czuję się paskudnie ze świadomością, że natychmiast wkradła się we mnie podejrzliwość. Przecież to nie Lisa ma coś na sumieniu. Ale nie mam czasu na odpowiedź, bo ona już otacza mnie ramionami i przyciąga do siebie.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – mówi, a ja mimo złych przeczuć odwzajemniam uścisk. – Nie idziesz jeszcze do domu, prawda? – upewnia się.

Zerkam na ulicę. Na ołowiane niebo zasnuwane spuchniętymi chmurami. Na ludzi mijających nas pospiesznie, z opuszczonymi głowami, próbujących jakoś uchronić się przed silnym wiatrem. Kiedy Lisa pyta, czy jadłam lunch, zwlekam

z odpowiedzią odrobinę zbyt długo. Burczenie w brzuchu postanawia mnie wyręczyć.

– Nie jesteś z...? – Wskazuję na starszą panią przy jej stoliku.

– Nie. Rozmawiałam z nią tylko dla zabicia czasu.

Lisa zawsze potrafiła z każdym znaleźć wspólny temat, wszędzie się dopasować. Moje barki niemal uginają mi się pod ciężarem samotności, którą wszędzie ze sobą noszę.

Szybki lunch. To przecież nic takiego.

– Chyba straciłyśmy twój stolik – stwierdzam.

Dwie nastolatki odsuwają właśnie puste krzesła.

– Proponuję, żebyśmy znalazły jakiś pub. – Lisa uśmiecha się szeroko, a czas nagle się cofa.

Łzy niespodziewanie napływają mi do oczu i uświadamiam sobie, że cieszę się z tego spotkania. Nie zdołamy odzyskać przeszłości; zresztą, na samą myśl o przeszłości czuję zimny dreszcz. Choć z drugiej strony w znajomych rzeczach zawsze kryje się poczucie bezpieczeństwa. To, jak Lisa bierze mnie pod rękę; kwiatowe perfumy, których nadal używa. Kiedy otwiera drzwi, do kawiarni wdziera się lodowaty podmuch.

– Możemy iść tam. – Wskazuję na budynek po drugiej stronie ulicy.

Lampy w oknach roztaczają ciepłe, miodowe światło, znak nad wejściem skrzypi na wietrze. Nick i ja często przychodzimy tu coś zjeść.

Zaczyna prószyć śnieg. Przechodzimy po oblodzonym asfalcie na drugą stronę, do pubu Pod Psem i Lisem. Na języku czuję smak mrozu i nadziei. Prawie dziesięć lat. I teraz, tuż przed okrągłą rocznicą, los znów popchnął nas ku sobie. To musi być dobry znak, prawda?

* * *

– Proszę, proszę, nasza lokalna celebrytka. – Mitch odstawia kieliszek, który właśnie polerował, i zarzuca sobie kraciatą ścierkę na ramię. – To samo co zwykle? – Nalewa wódki do szklanki i otwiera butelkę toniku. Nakrętka trzeszczy, rozlega się syk gazu.

Biorę łyk drinka. Wódka rozgrzewa mnie od środka, prze-gania chłód ze zmarzniętych kości. Prowadzę Lisę przez pub, ignorując fotele przy kominku, w którym trzaska ogień. Zamiast tego wślizgujemy się do mojej ulubionej budki w kącie.

– Przyjemnie tu. – Lisa rozgląda się po pomieszczeniu. – Nie wygląda jak Trzy Rybki, co?

– I dzięki Bogu. – Jako nastolatki stanowczo zbyt dużo czasu spędziłyśmy w Trzech Rybkach. Godzinami siedziałyśmy przycupnięte na barowych stołkach o długich chromowanych nogach i skajowych siedzeniach. Popijałyśmy głównie kwaśne jak ocet wino, którego cena stanowczo przewyższała jakość. – Pamiętasz, jak non stop zjeżdżałyśmy z tych stołków?

– Pewnie! Zawsze siedziałam z jedną nogą wyciągniętą przed siebie, żeby w razie czego nie polecieć na twarz.

– No, to co u ciebie? – zagaduję.

Odpowiada mi długa cisza.

Lisa zakłada włosy za uszy.

– Wszystko w porządku – mówi w końcu z uśmiechem, który znika, zanim zdąży pojawić się do końca. Mam wrażenie, że chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zamiast tego pyta:

– O co mu chodziło? Z tą lokalną celebrytką?

– A, nic. – Zaczynam bawić się podkładką do piwa, leżącą na stole. Powoli rozklejam kartonik na rogach.

– Jakie tam nic. – Mitch stawia na brzegu naszego stolika menu z daniami dnia, nabazgranymi jego pajęczym pismem.

Dzisiejsza zupa: marchewkowa z kolendrą. Marszczę nos. Nie jadam marchewek, chyba że w cieście.

– O Kat i jej mężu pisali ostatnio we wkładce do niedzielnej gazety. Byli na takiej eleganckiej kolacji charytatywnej z różnymi sławnymi i bogatymi. Ale jedzenie pewnie nie takie dobre jak u nas, co, Kat?

– Nic nie przebiję twojego ciasta daktylowego. – Czuję na sobie wzrok Lisy, kiedy czytam menu. Pozwalam, żeby długie włosy opadły mi na twarz i przysłoniły policzki. Jestem pewna, że się czerwienię.

– Pieczeń z indyka. – Lisa zaciera ręce.

Jest dopiero pierwszy grudnia, ale Mitch już kilka tygodni temu zdążył ustawić w kącie sali absurdalnie wysoką choinkę. Z plastikowych gałązek zwisają czerwone i srebrne łańcuchy. Z dyskretnie ustawionych głośników płyną kiczowate świąteczne piosenki. The Pogues śpiewają właśnie *Fairytale of New York*.

– Dla mnie makaron.

Mitch zamaszystym krokiem rusza do kuchni. Przestrzeń między nami zajmuje ciężka cisza, która aż wciska mnie głębiej w siedzenie. Mogłabym wyciągnąć rękę i dotknąć Lisy, ale mam wrażenie, że przepaść między nami jest nieprzekraczalna. Tym razem ona też wygląda na zdenerwowaną. Bawi się sztukami.

– Liso... – zaczynam, ale urywam.

Szukam w myślach słów, które powinny teraz paść. Próbuje ułożyć je w jakimś porządku, zanim same zaczną się ze mnie wylewać, zanim zaczną się nad sobą litować i wszystko popsują.

– Ćśś. Wszystko dobrze.

– Uderzyłam cię. – Nawet teraz piecze mnie dłoń, kiedy o tym myślę.

– Obie popełniłyśmy błędy. Zrobiłyśmy rzeczy, których żałujemy. Prawda?

– Tak, ale twoje błędy nikogo nie zabiły – przyznaję szeptem.

Lisa krzywi się boleśnie, a ja czuję, że muszę mówić dalej.

– Tamtej nocy... – W gardle mam twardey supeł. Dopijam resztkę drinka, żeby się go pozbyć.

– Kat.

Lisa kładzie dłoń na mojej. Jej skóra jest miękka, znajoma. Pod powiekami wzbierają mi łzy. Przygryzam wargę, żeby je odpędzić, i przypominam sobie, jak trzymałyśmy się za ręce, biegnąc razem na plac zabaw, żeby zagrać w klasy, zanim ktoś inny zajmie nam miejsce.

– Pewnie mnie nienawidzisz? – Ja ani na chwilę nie potrafię zapomnieć o nienawiści, którą czuję do samej siebie. Zawsze jest we mnie, tli mi się gdzieś na dnie brzucha. Chybaby mi ulżyło, gdyby Lisa dała mi w twarz albo przynajmniej na mnie nawrzeszczała.

– Owszem, kiedyś cię nienawidziłam. – Wprawdzie spodziewałam się tych słów, ale i tak przeszywają mnie na wyłot. – Bardzo długo. Ale nawet nie za to, co się stało, bo to nie była twoja wina. Chyba raczej za to, że uciekałeś. Mogłyśmy razem sobie z tym poradzić. Ja sobie poradziłam. – Jej ton jest mocny, pobrzmiwa w nim determinacja.

– To nie była moja decyzja... – Łamię mi się głos.

– Nie musimy o tym rozmawiać. A przynajmniej nie teraz. Wezmę nam jeszcze po drinku. Chcesz to samo?

– Tak, dziękuję – zgadzam się, choć mam tak słabą głowę, że powinnam raczej poprosić o lemoniadę.

Mimo że atak panicznego gorąca już minął, serce nadal bije mi nieco za szybko. Oddech mam trochę zbyt płytki. Wiem, że w ciepłych objęciach alkoholu niedługo się uspokoję.

Lisa wysuwa się zza stołu, a ja korzystam z okazji, żeby wyjąć telefon. Ale zamiast powiadomienia o nowej wiadomości na ekranie widzę tylko tapetę: ja i Nick, całujący się w dniu naszego ślubu. Nastrój mi się pogarsza – miałam nadzieję, że czegoś się dowiem. Podczas gdy Lisa zamawia drinki, wymykam się do toalety i ochlapuję twarz zimną wodą. Kiedy osuszam policzki papierowym ręcznikiem, zauważam swoje odbicie w lustrze. Błada twarz okolona prostymi jak druty, ciemnymi włosami. Pod oczami ciemnofioletowe worki, prawie jak siniaki.

Wracam do stolika i przelewam tonik do szklanki. Przyglądam się, jak maleńkie bąbelki oblepiają kostki lodu i płyną na powierzchnię.

– Nie wiem, jak ty możesz dalej pić wódkę – wzdycha Lisa. – Pamiętasz tamtą imprezę u Perry’ego Evansa? Skasowałyśmy we dwie prawie całą flaszkę. – Krzywi się, jakby to było wczoraj.

Od ponad dziesięciu lat tak nie imprezowałam. Nick próbuje mnie namówić na duże przyjęcie z okazji moich urodzin w przyszłym roku, ale ja odpycham od siebie myśl o trzydziestce.

– Pamiętam, jak trzymałam ci włosy, kiedy rzygałaś na naczynia w umywalce. – Śmieję się ze wspomnienia. Zaskakuje mnie ten dźwięk.

– Od tamtego czasu nawet nie powąchałam wódki. – Lisa wzdryga się teatralnie. – Jake też tam był, nie? – Jej pytanie brzmi niewinnie, jakby nie mogła sobie przypomnieć, ale wiem, że doskonale pamięta. W jej oczach odbija się mój ból.

Otwieram usta, żeby coś odpowiedzieć, ale Mitch stawia przede mną głęboki talerz z parującą carbonarą i ociekające masłem pieczywo czosnkowe. Kiedy wychylam się po solniczkę, złoty krzyżyk dynda mi na szyi. Lisa dotyka go lekko dwoma palcami.

– Dalej go nosisz?

Nie odpowiadam. Nie muszę. Wiem, że obie teraz wspominamy to samo. Zastanawiam się, czy nawet po tylu latach Lisa uważa, że to ona powinna nosić ten krzyżyk, ale jak zwykle wyciągam zbyt daleko idące wnioski. Lisa okazała mi jak dotąd jedynie sympatię.

Przez kilka minut siedzimy w ciszy. Nawijam makaron na widelec. Lisa zabiera się do jednego z legendarnych ziemniaków w mundurkach – specjalność Mitcha. Zawsze żartujemy z Nickiem, że powinien dawać do nich piłę łańcuchową zamiast noża i widelca.

– Opowiedz mi o tym twoim mężu. Nick, tak? Jest prezesem fundacji?

Mam usta pełne jedzenia, więc tylko kiwam głową w odpowiedzi. W pierwszej chwili jestem wdzięczna za zmianę tematu, ale kiedy przetykam, przypominam sobie, że przecież ani ja, ani Mitch ani razu nie wspomnieliśmy imienia mojego męża i nie powiedzieliśmy, czym się zajmuje. Chleb przykleja mi się do podniebienia. Czy to naprawdę przypadek, że Lisa tu jest? A może celowo mnie namierzyła? Ale jeśli tak, to po co?

„Zemsta”, szepcze głos w mojej głowie. Uciszam go, wychylając drinka jednym haustem.